Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



„Kot". Z suchorytu. J. Kirilenki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 35 (873) 10 GRUDNIA 1937 R.

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego

Na podstawie postanowień §§ 19 — 24 statutu Polskiego Związku Łowieckiego, Zarząd Związku, pełniący — w myśl postanowienia § 70 statutu — obowiązki Naczelnej Rady Łowieckiej, uchwalił, że:

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego odbędzie się w dniu 16 stycznia r. 1938, w Warszawie, przy ul. Nowy Świat Nr. 35.

Obrady rozpoczną się o godzinie 10-ej, przyczem Zgromadzenie będzie prawomocne bez względu na liczbę obecnych.

Termin Walnego Zgromadzenia Związku opóźniony został wyjątkowo, ze względu na konieczność przeprowadzenia reorganizacji Związku w całym kraju, na podstawie nowego statutu.

Porządek obrad jest następujący:

1. *Zagajenie Zgromadzenia przez Prezesa Związku.*
2. *Wybór 2 Sekretarzy i 4 Asesorów do Prezydjum Zgromadzenia.*
3. *Zatwierdzenie protokółu Walnego Zgromadzenia Związku z dnia 24 maja r. 1936.*
4. *Wysłuchanie sprawozdania z działalności Związku za lata 1936 i 1937.*
5. *Uchwalenie budżetów na lata 1937 i 1938.*
6. *Wybór Prezesa Związku, 5 Wiceprezesów i 16 Członków Naczelnej Rady Łowieckiej.*
7. *Wybór Komisji Rewizyjnej w składzie 3 Członków i 2 Zastępców.*
8. *Wybór 12 Członków Kapituły Odznaczeń Łowieckich.*
9. *Wnioski.*

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego składa się z:

a. *delegatów Walnych Zgromadzeń Oddziałowych (Wojewódzkich);*
b. *przedstawicieli Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych;*
c. *członków honorowych;*
d. *osób, w danej chwili wchodzących w skład Naczelnej Rady Łowieckiej (dotychczasowego Zarządu Związku).*

Każdemu z uprawnionych do udziału w Walnem Zgromadzeniu Związku — przysługuje prawo jednego głosu.

Na Walnem Zgromadzeniu Związku mogą być dyskutowane i poddawane pod głosowanie tylko te wnioski, które na dwa tygodnie przed Zgromadzeniem, a więc do dnia 2 stycznia r. 1938 najpóźniej, zgłoszone zostaną do Naczelnej Rady Łowieckiej. Naczelna Rada Łowiecka może poddać pod dyskusję i głosowanie Walnego Zgromadzenia Związku wniosek, zgłoszony bez zachowania tego terminu.

*

Liczba delegatów Walnych Zgromadzeń Wojewódzkich (Oddziałowych) na Walne Zgromadzenie Związku — ustalana będzie na podstawie liczby członków zwyczajnych, za których Oddziały wpłaciły Związkowi składki członkowskie.

Na Walne Zgromadzenie Związku w dniu 16 stycznia r. 1938 przysługuje Oddziałom — z zachowaniem powyższej zasady — prawo wysłania:

2 delegatów przy liczbie do 300 członków,
3 „ „ „ od 301 do 400 członków,
4 „ „ „ od 401 do 500 „
5 „ „ „ ponad 500 „

WYDZIAŁ WYKONAWCZY
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.



„Huczki". Fot. W. Korsak.

OD REDAKCJI

Dążąc stale do ulepszania „Łowca Polskiego" zarówno pod względem treści, jak i w dziale ilustracyjnym, staramy się równocześnie na tej drodze osiągnięte zdobycze materjalne, pochodzące ze zwiększającej się liczby prenumeratorów, oddać im samym w całości, pozostając, jako organ Związkowy, zawsze i wyłącznie wydawnictwem ideowem, a nie handlowem.

Temi pobudkami i tą myślą przewodnią kierowani, ogłaszamy niniejszem zastosowanie od 1 stycznia 1938 r. dalszej obniżki prenumeraty „Łowca Polskiego", którą jednak stosować będziemy wyłącznie do prenumeratorów — członków Związku.

Prenumerata dla nie-członków pozostanie ta sama (zł. 28.–, 15.–, 7.50 i 2.50).

Członkowie Związku płacić będą rocznie: zł. 24.–, półrocznie zł. 12.–, kwartalnie zł. 6.–, miesięcznie zł. 2 –

Redakcja „Łowca Polskiego"

WYNIK IX KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO „ŁOWCA POLSKIEGO“ W ROKU 1937.

Członkowie Sądu Konkursowego powołani zostali przez Komitet Redakcyjny na posiedzeniu Kom. Redakcyjnego z dnia 30 czerwca 1937 r. w osobach Panów: J Gieysztora, W. Gorczyńskiego, Z. Kleszczyńskiego, M. Mniszek - Tchorznickiego, Wł. Zabielly i K. Czampego; na zastępców powołano Panów: J. Dylewskiego i J. Wł. Kobylańskiego.

W dniu 15 listopada 1937 r. członkowie Sądu Konkursowego przystąpili do oceny nadesłanych prac w ogólnej liczbie 439 zdjęć fotograficznych.

Poza 7-ma nagrodami — sędziowie przyznali za serje, bądź za pojedyńcze zdjęcia, żetony złote, srebrne i bronzowe w ogólnej liczbie 9 szt. Po przeprowadzeniu glosowania i otwarcia kopert, oznaczonych godłami autorów, okazało się, że zostali nagrodzeni ZŁOTEMI ŻETONAMI oraz:

I-szą nagrodą zł. 150.— za serję Nr. 33, godło „Łoś“, zdjęć 24, p. WŁODZIMIERZ PUCHALSKI.

II-gą nagrodą zł. 100.— za serję Nr. 32, godło „Gwiazda II“, zdjęć 54, p. ANTONI WIŚNIEWSKI.

III-cią nagrodą zł. 75.— za serję Nr. 16, godło „Lagopus“, zdjęć 20, — p. WŁADYSŁAW WYSOCKI.

IV-tą nagrodą zł. 50.— za serję Nr. 9, godło „Rad“, zdjęć 37, — p. ANDRZEJ DOBRSKI.

V-tą nagrodą zł. 50.— za serję Nr. 24, godło „Dziki Nikor“, zdjęć 12, — Dr. JAN JERZY KARPIŃSKI.

VI-tą nagrodą zł. 50.— za serję Nr. 8, godło „Old tar“, zdjęć 11, — Adm. MICHAŁ BOROWSKI.

VII-mą nagrodą zł. 50.— za serję Nr. 30, godło „Poznań“, zdjęć 8, — p. JAROSŁAW URBAŃSKI

Przyznano ponadto ŻETONY ZŁOTE:

Nr. serji 3, godło „Suche Komnaty“, zdjęć 22,— p. Dr. JERZEMU BŁESZYŃSKIEMU.

Nr. serji 17, godło „Prus“, zdjęć 21 — JÓZEFOWI KS. JABŁONOWSKIEMU.

ŻETONY SREBRNE:

Nr. serji 22, godło „Lubart“, zdjęć 6 — p. JERZEMU ŻÓŁTOWSKIEMU.

Nr. serji 15, godło „Dr. H. R.“, zdjęć 6 — Dr. HENRYKOWI ROŻKOWSKIEMU.

Nr. serji 23, godło „Puszcza Rożańska“ zdjęć 3 — TERESIE EUSTACHOWEJ KS. SAPIEŻYNIE.

Nr. serji 25, godło „Mi-Ha“, zdjęć 6 — KPT. MICHAŁOWI SZCZEPAŃSKIEMU.

ŻETONY BRONZOWE:

Nr. serji 5, godło „Bór“ zdjęć 14, — p. STANISŁAWOWI CENKIEROWI.

Nr. serji 6, godło „Tenor“, zdjęć 11, — p. STANISŁAWOWI RASIŃSKIEMU.

Nr. serji 18, godło „Puszcza“, zdjęć 29, — p. TADEUSZOWI PACYNIE.

Na zakończenie należy nadmienić, że poziom zdjęć fotograficznych naogół był bardzo wysoki, — daje się odczuwać jedynie brak zdjęć zwierząt łownych w ruchu, co z natury rzeczy przynosi zawsze ciekawe obrazy.

SĄD KONKURSOWY



Smycza chartów. Fot. A. Dobiski

ZWYCIĘSTWO Ś-GO HUBERTA

(Dokończenie).

Starannie, z całą pieczołowitością i zrozumieniem łowieckiem wystąpiły Czechosłowacja i Jugosławja, wykazując się pięknym dorobkiem hodowlanym we wszystkich działach.



Fragment ze stoiska Wielkiej Brytanji.

W pawilonie czechosłowackim zwracają uwagę piękna kolekcja muflonów i specjalne stoisko, poświęcone zwierzyńcowi w Schneeberg.

Wyjątkowo pięknemi i urządzonemi z pietyzmem są stoiska Austrji i Węgier. Państwa te na brak miejsca na wystawie skarżyć się nie mogły, to też stoiska swoje urządziły z całym gustem i w sposób optyczny, dający możność zorjentowania się, co w którym z krajów związkowych, względnie w komitacie jako trofeum można zdobyć. Inna rzecz, że, mojem zdaniem, takie dzielenie trofeów na wystawie światowej nie jest wskazane. Zaciera ono ogólne wrażenie, jakie trofea każdego kraju na zwiedzającym powinny wywierać i utrudnia stworzenie sobie pojęcia o ogólnym typie trofeów każdego kraju, który czasem, jak np. w dziale parostków szwedzkich rogaczy, tak wybitnie występuje, że raz zobaczywszy, już często nie wiedząc, parostki szwedzkiego rogacza można rozpoznać. Podobnie, mimo podziału na poszczególne komitaty, wykazują swoisty typ wieńce jeleni węgierskich, bardzo grube i o pięknem, jednolitem w typie zakończeniu (korona). Zarówno Austrja jak i Węgry dały dużo bardzo cennych, pięknych eksponatów z działu historycznego, a także bardzo piękne dioramy, z pośród których wyróżnia się diorama przedstawiająca polowanie na gęsi w Hortobagy.

Z pośród innych krajów, które jak Bułgarja, Danja, Holandja i inne, wystąpiły w mniejszym zakresie, wyróżnia się Szwecja swemi pięknemi rogaczami i rosochami łosi.

Z krajów łacińskich wyróżniają się Włochy i Francja.

Włochy wystąpiły z pięknemi kolekcjami muflonów i koziorożców z Gran Paradiso, a także z pięknemi bareljefami o treści łowieckiej z czasów rzymskich, Francja zaś zadokumentowała w bardzo pięknie urządzonym pawilonie swoją łowiecką przeszłość: prześliczne gobeliny, ubiory, i przedmioty wyekwipowania dla polowań par force, bardzo ciekawe kolekcje guzików różnych ekip i całą masę różnych artystycznych i cennych przedmiotów, mających związek z historją łowiectwa we Francji. Prócz tego nieliczna ale bardzo piękna kolekcja trofeów egzotycznych z kolonij.

W dziale trofeów kolonjalnych króluje Anglja. Stoiska jej bardzo są pięknie i bogato urządzone, i imponują ilością i rozmaitością trofeów. Prześliczne rogi różnych antylop afrykańskich i azjatyckich, bawołów, skóry lwów, tygrysów, kły słoni, a przedewszystkiem fantastyczne łopaty łosi z Kanady i Alaski zajmują wielką część hali, przeznaczonej dla trofeów egzotycznych. W tym dziale wyróżniają się również kolekcje trofeów z niemieckiej Afryki, wśród których imponuje, jako arcydzieło dermoplastyki, wspaniale wypchany w całości gaur (bawół) indyjski. Na specjalne wyróżnienie zasługuje stoisko Portugalji, która nadesłała piękne i różnorodne kolekcje trofeów z Angoli i Mozambiku.

Wśród cudów, które można było oglądać na wystawie, specjalny i może największy zachwyt wzbudza hala, poświęcona malarstwu łowieckiemu i rzeźbie. W tym dziale niepodzielnie króluje Liljefors, który z każdego tematu umie stworzyć arcydzieło. Takiego wczucia się w przyrodę, takiej umiejętności subtelnego oddania wrażeń i nastrojów łowieckich, nie spotykamy chyba u nikogo, pod tym względem Liljefors jest niedościgły. Bardzo piękne są również obrazy malarzy niemieckich, ze słynnym Kuhnertem na czele. I udział Polski w tym dziale jest całkiem poważny; obrazy Falata, Wierusz-Kowalskiego i Brandta zwracają na siebie powszechną uwagę.

Bardzo piękny i licznie obesłany jest dział fotografji, w którym wyróżnia się nagrodzona złotym medalem kolekcja p. W. Puchalskiego.



Fragment ze stoiska Danji.

Ogólne wrażenie całej wystawy jest wprost oszałamiające. Wyznawcy św. Huberta z całego świata zebrali się, aby okazać, czem są i co kochają. Lata przeminą, zanim będziemy znów świadkami podobnego wystąpienia. Ale wrażenie i pamięć obecnego wystąpienia przetrwają też długie lata, przypominając narodom i ich rządom, czem jest i czem może być łowiectwo. Św. Hubertowi cześć!

WALENTY GARCZYŃSKI



Dyr. Janusz Regulski na polowaniu na kozice w Alpach.

W POGONI ZA KOZICAMI

Zimą roku zeszłego znów znalazłem się u stóp tej samej Hochsteinalpe. Tym razem jednak, jak już powiedziałem na początku, w towarzystwie znakomitego myśliwego polskiego, którego szanując incognito, będę nazywać panem Miehem.

Kozice i Alpy były dla niego jeszcze światem nieznanym. Owładnęła też mną wielka trema, czy zaprezentują się one należycie memu towarzyszowi. — A miałem do tego, poza należytym dla niego respektem i inne powody, gdyż w Wiedniu spotkaliśmy naszego wspólnego znajomego, również doskonałego myśliwego polskiego, któremu pierwsze spotkanie z kozicami zupełnie się nie powiodło. Do jednej na bardzo daleki dystans chybił (komuż to się nie zdarza i na bliższe dystanse), w poszukiwaniu zaś następnej, przed jakiemś stromem przejściem, poprostu „wyłamał" i, oświadczając krótko zdziwionemu Austrjakowi, że taka zabawa to nie dla nas, zjechał z gór do Wiednia.

Otóż było czem niepokoić się: czy kozice pokażą się, czy Alpy nie zawirują w śnieżnej burzy, czy... Mieh nie wyłamie.

Ale uspokoję zaraz wszystkich i dam upust swej wyzwolonej ze strachu radości. Wszystko poszło, jak z płatka, a już największą niespodziankę zrobił mi kolega Mieh, któremu kilkunastokilometrowy marsz pod górę, z różnicą poziomów przeszło 1000 metrów, nie sprawił większych trudności, niż włóczęga po poleskich błotach. Brawo, polskie serce i nogi!

* * *

W niedzielę, 22 listopada, w dolinie Buchbergu wstał szary i pochmurny ranek. Znajomy mój z roku zeszłego, stary Gassner, był niezadowolony nietylko ze złej pogody, ale i z tego, że już jutro, t. j. w poniedziałek, musimy wracać z gór i na noc opuścić Austrję. Jakże to w tak krótkim czasie zdobyć po dwa na każdego z nas kozły.

Szybkim krokiem, dzwoniąc po kamieniach ostro podkutemi butami, ciągniemy wzdłuż doliny ku górom, zakrytym zresztą całkowicie chmurami.

Wydostaliśmy się już do lasu i zaczynamy się piąć pod górę. Stary i twardy śnieg, mocno wyboisty, nie ułatwiał marszu Tymczasem Gassner prze naprzód, chcąc zyskać na czasie. Ja ciągnę za nim bez odpoczynku, Mieh natomiast z olimpijskim spokojem podąża w pewnem oddaleniu za nami, odpoczywając sobie, — kiedy mu zaczyna być zbyt gorąco.

Idziemy ciągle w gęstej mgle. Zakrywa ona nieprzeniknioną zasłoną ścianę granitową, wzdłuż której posuwamy się, a którą tak przyjemnie wspominam z finału zeszłorocznego mego polowania.

Zaczyna mnie ten stan rzeczy niepokoić, natomiast Gassner kategorycznie twierdzi, że w górze jest jasno i że kozice są skutkiem tego bliżej szczytów. Wobec tego ciągnie nas w górę bezlitośnie, wypierając z nas ostatni dech.

Brawo Gassner! Od 1400 mtr. mgły pozostawiamy pod sobą i wchodzimy w strefę cudownego, olśniewającego słońca. Widok jest tak fascynujący, że zatrzymujemy się na dłuższy odpoczynek.

Pod nami nieruchomo sfalowane, wspaniale osłonecznione morze białej mgły. Zawładnęło ono niepodzielnie całą doliną, zginęły w niem pomniejsze góry, gdzieniegdzie zaledwie z przeczystej jego bieli

wyłaniają się małe czarne piramidki lesistych szczytów, lub złomy skalne, niby jakieś fantastyczne arki pływające. Jedynie potężna granitowa ściana, poorana głębokiemi zmarszczkami, majestatycznie wyłania się wysoko ponad nieruchomą białą masą.

Z boku pod szczytem zobaczyliśmy pierwsze kozice. Przywołuje to nas do rzeczywistości. Ruszamy dalej. Przed nami w siodle gór wielka płaszczyzna śnieżna stromo pnie się ku górze. Ten bez mała kilometr, to ciężka próba serca, tembardziej, że słońce formalnie parzy. Porozpinaliśmy na sobie wszystko, co się dało, z gołych głów bije para, samopoczucie z łaźni. Ostatnim tchem wydostajemy się na przełęcz.

Jest tu stolik i ławka. Morze mgły jakby opuściło się głębiej pod nami, za to otworzyły się nowe widoki, nowe szczyty i spływające od nich łagodnie olbrzymie płaszczyzny śnieżne.



Pod nami morze mgły. Fot. J. Regulski.

Krawędź ściany granitowej zakrywała przed nami dotąd ten jakiś nowy świat, któregośmy się zupełnie nie spodziewali. Akurat rok temu brnąłem tędy w pocie czoła, nie przeczuwając nawet, że tyle piękna huragan śnieżny wówczas skrył przede mną.

I znów dalej w drogę. Jesteśmy w wielkiej kotlinie, zaledwie lekko sfalowanej, niczem olbrzymia biała płachta, zwisająca od szczytu do krawędzi ściany granitowej. Idziemy lekko i wesoło. Jeszcze paręset metrów i widzimy zdala czerniejącą kolibę, ukrytą pod śnieżnym szczytem. Stado kozic przecina nam drogę do koliby.

— Pójdziemy powoli i spokojnie naprzód, kozice nie przestraszą się, odejdą niedaleko i zatrzymają się — mówi Gassner.

Powolutku suniemy ku nim gęsiego. Rzeczywiście w miarę zbliżania się naszego kozice bez lęku odskakiwały i zatrzymały się wreszcie na grupie skał o 200 mtr. za kolibą. Wśród nich był niezły kozioł.

Pierwszy strzał dla nowego gościa. Kolega Mieh sunie za Gassnerem, kryjąc się za skałami. Ja siadam na śniegu i oparty o ścianę koliby, z zainteresowaniem obserwuję rozwijającą się przedemną operację, widoczną, jak na dłoni. Doszli do grupy skalistej i powoli zaczynają wydostawać się na jej szczyt. Zalegli i wyglądają przez krawędź. Kozice spokojnie chodzą na następnej skale oddalonej o ok. 100 mtr. zaledwie od myśliwych. Widzę jak Mieh powolutku wysuwa Mannlichera, kładzie go na skale, mierzy. Strzał, — kozioł podskoczył, a stado przerażone, w szalonych susach znikło za skałą. Jeszcze jeden strzał, żeby się nie męczył i myśliwi wyrastają z za skały, machając kapeluszami. Odpowiadam im radośnie. No, dzięki ci, św. Hubercie, Mieh ma pierwszego kozła i nie... wyłamał.

Śniadanie spożywamy we wspaniałym nastroju. Teraz ja pójdę z Gassnerem w stronę szczytu, Mieh z młodszym strzelcem na sąsiednią górę.

Nie tracąc czasu, ruszyliśmy. Krążyliśmy między krawędzią a szczytem już przeszło godzinę, zalegając za skałami w różnych miejscach i obserwując zbocza. Było parę stad, ale ani jednego lepszego kozła wśród nich. Powolutku pociągnęliśmy w lewo ku szczytowi. Przed nami ogromna płaszczyzna goła, bez żadnego krzaczka. Na grzbiecie zarysował się profil kozicy. Przyjrzeliśmy się przez lornetkę. Dobry kozioł — twierdzi Gassner, — ale jak się do niego zbliżyć.? Już nas zobaczył. Wygiął szyję ku nam i nieruchomo przygląda się. Stanęliśmy, poczem jeden za drugim, ograniczając do minimum ruchy, zaczęliśmy się posuwać. Aby tylko dojść do wielkiego kamienia, wystającego ze śniegu o 200 mtr. przed nami.

— Może byłoby lepiej czołgać się — szepcę do Gassnera.

— Nie, nie, przeciwnie, trzeba iść powoli, nie patrząc na niego i nie garbiąc się. Tak, jak zwykli turyści. Jak tylko będziemy się czaić, to szelma zaraz ucieknie.

Jakoż szczęśliwie dobiliśmy do kamienia i zaległiśmy za nim. Kozioł stał nieruchomy dłuższy jeszcze czas, wreszcie uspokoił się, poszczypał trawę i położył się.

— Źle — mówi Gassner, teraz poleży conajmniej pół godziny, ale potem powinien ruszyć ku kotlinie. Poczekamy. Dobry kozioł.

— Mamy teraz czas, kozioł nas tu przetrzyma, rozglądamy się więc spokojnie wkoło. W prawo mamy małą kotlinkę. Na przeciwległem zboczu widać dwie kozy, pasące się spokojnie.

— Poniżej powinien być też kozioł — mówi Gassner.

Żeby zajrzeć tam, trzebaby się wyciągnąć jeszcze w górę, ale to niebezpiecznie, bo stary kozioł z góry napewno nas obserwuje. Leżymy więc, marznąc coraz bardziej.

Upłynęło już 40 minut, kozioł leży. Z nudów położyłem Mannlichera na kamieniu i przez lunetę mierzę do kozła. Naraz wstał i bacznie przygląda się kotlince, o nas jakby zapominając.

— O, tam napewno jest drugi kozioł — szepce Gassner — zaraz ruszy na niego.

Ale tym razem przepowiednie Gassnera nie sprawdziły się, kozioł wciąż stał, wreszcie zaczął szczypać trawę.

Położyłem pelerynę na kamieniu, pod sztucerem. Bardzo daleko do tego kozła, poprzeczny włos w lunecie stanowi prawie jedną trzecią grubości kozła, jest conajmniej 350 mtr. do niego. Gassner potwierdza moje przypuszczenia i nie radzi strzelać. Czekamy więc, ale bez skutku, kozioł ani myśli się zbliżać. Wreszcie decyduję się: trudno, co będzie, to będzie, najgorzej — jeśli spudłuję, to Mieh będzie miał nowy temat.

Staram się mierzyć dokładnie, bezpieczniej nie na komorę, a w środek, między żebra. Zatrzymuję oddech i strzelam. Kozioł odwrócił się, ostro ruszył na dół i znikł za grzbietem.

Zamieniliśmy się w dwa milczące znaki zapytania. Wreszcie Gassner przerwał ciszę: — Chyba pudło.

We mnie tli iskierka nadziei, znajdująca wątłą podstawę w tem, że kozioł odwrócił się i skoczył na dół, zamiast iść przed siebie w górę.

Zwykle wskazuje to, że zwierzyna jest ranna. Jeśli jednak jest tylko postrzelony, to byłoby może le-

piej, gdybym wogóle chybił, bo kozła nie znajdę, a odstrzał stracę.

W każdym razie trzeba mu dać narazie spokój. — Posuwamy się więc ku górze, żeby zajrzeć w kotlinę. Rzeczywiście o 200 mtr. od nas pasie się kozioł. Nim się jednak przygotowałem do strzału, pokazał się zdala drugi kozioł, a mój wybraniec odrazu po bohatersku ruszył ku niemu, oddalając się od nas.

Wybrałem moment kiedy zwolnił i strzeliłem. Kozioł widocznie zamarkował i powoli ruszył za spłoszonemi kozicami, znikając za grzbietem. Po chwili już dalej mignęło nam całe stalo, ale strzelanego kozła, jak twierdzi Gassner, wśród nich nie było. Musiał więc zostać za grzbietem.

— No, chodźmy zobaczyć co się stało z pierwszym, — mówi Gassner.

Poszliśmy, ja w dość kwaśnym nastroju, bo strzelałem do dwóch, a właściwie żadnego mogę nie mieć. Paskudna sytuacja.

Wydostaliśmy się na grzbiet, przecinając bieg kozła.

— Farba — woła Gassner.

Rzeczywiście na śniegu czerwienią się drobniutkie kropelki. Nie wiem, czy mam cieszyć się, czy martwić. Farba dość słaba, lekka szpryca powtarza sie co parę kroków. Kozioł szedł dłuższy czas wskok, później zwolnił i przystanął nawet, ale zaraz potem, jakby nigdy nic, zsunął się z kilkudziesięciometrowego urwiska i poszedł na sąsiedni szczyt.

Ta droga, to była dla mnie prawdziwa Golgota. Zgarbieni, z trudem odszukając trop i farbę na zlodowaciałym terenie, ciągniemy powoli wzdłuż grzbietu na 2000 mtr. n. p. m., smagani zimnym wiatrem, skostniali z zimna, a co najgorsze z głębokiem przekonaniem o beznadziejności naszego trudu.

Zgubiliśmy trop. Ja otulony peleryną, nasunąwszy głęboko czapkę na uszy, stoję przy ostatnim śladzie, Gassner krąży wkoło, bez powodzenia szukając farby. Silny wiatr podnosi co chwila masy lodowatych krupinek, zasypując niemi nikły trop.

— Gassner szkoda trudu — wołam — wracajmy z powrotem.

Ale wicher głuszy moje słowa, Gassner natomiast po chwili daje mi znać ręką, że odnalazł trop. Wlokę się do niego bez uczucia radości. Większa plamka przybielona szronem, lekko się czerwieni. Dalej trop jest bardziej widoczny. Kozioł zatoczył trzykilometrowy krąg i wrócił w kierunku ściany. Idziemy w stronę krawędzi, nie zachowując nawet specjalnej ostrożności.

Naraz Gassner gwałtownie przypadł do ziemi.

— Za grzbietem stado kozic, ostatnia sztuka, to zdaje się ranny kozioł — szepce mi.

Wychylamy powoli głowy tak, żeby tylko wzrok przeszedł ponad grzbietem. Rzeczywiście o 120 mtr. z tyłu za stadem stoi kozioł, jakby skurczony, ogląda się w naszą stronę. Gassner błyskalicznie łapie mój i swój kij, rozstawia je, tworząc z górnych końców małe widełki. Przytrzymuje je mocno obydwiema rękami pod skrzyżowaniem. Zrozumiałem o co mu chodzi. Podnoszę się i zgarbiony opieram koniec lufy o widełki i bez namysłu strzelam. Kozioł pada na miejscu.

— Brawo — woła Gassner — aby tylko nie stoczył się ze ściany. Byłaby z niego tylko mokra plama.

Wyskakujemy na grzbiet. Kozioł na szczęście osunął się tylko parę metrów i zatrzymał się martwy przy jakimś kamieniu.

Odzyskanie, zdawałoby się, na pewno straconego kozła, wprowadziło mnie wprost w zachwyt. Owłosiona twarz Gassnera, pokryta szronem i soplami lodu, promieniała szerokim uśmiechem.

Pozatem niesłychanie podobała mi się zaimprowizowana przez Gassnera podpórka. Rekomenduję gorąco ten sposób kolegom myśliwym tam, gdzie brak stałego oparcia.

Stoimy pod samym szczytem, paląc papierosy. Widok z tej wysokości przewspaniały. Głęboko, paręset metrów pod nami widać naszą kolibę. Ku niej od naszych stóp spływa łagodnie olbrzymi płat śniegu.

W pewnej chwili Gassner bierze mnie za ramię, wyciąga rękę w dół.

— Niech pan patrzy, tam na dole na śniegu, stoi nasz drugi kozioł.

Rzeczywiście, po chwili szukania, widzę pod nami, conajmniej o 300 mtr., stojącego tyłem do nas kozła. Momentalnie położyłem się na skale, opierając sztucer na zwiniętej w kłębek pelerynie.

— Niech pan nie strzela — mówi Gassner — jest bardzo daleko i do tego tyłem stoi. Musi się odwrócić do nas bokiem.



Dobry kozioł. Fot. J. Regulski.

dło: kula uderzyła w śnieg tuż obok kozła z prawej trzę przez lunetę, trudno mi się zdecydować na strzał. Tył kozła na ten dystans, to rzeczywiście cel przesadnie mały. Upłynęło jednak już pół godziny, a kozioł nie ruszył się. Trudno, spróbuję — strzelam. Pudło, kula uderzyła w śnieg tuż obok kozła z prawej strony. Repetuję i strzelam drugi raz. Kozioł, jak piorunem rażony, padł i z szaloną szybkością zaczął toczyć się na dół po stromej płaszczyźnie śniegu. Zatrzymał się niedaleko naszej koliby.

Winszujemy sobie serdecznie z Gassnerem. Bardziej szczęśliwego rozwiązania tej skomplikowanej sytuacji z obydwoma kozłami, trudno żądać.

Kolega Mieh wprawdzie tym razem nie doszedł do strzału, jednakże miał też pewną atrakcję myśliwską. Podchodząc kozice na sąsiedniej górze, po drugiej stronie doliny, usłyszał mój pierwszy strzał. Widział kozła galopującego na dół, potem odszukał przez lornetkę nas, leżących za kamieniem, obserwował podejście moje i strzał do drugiego kozła, wreszcie słyszał, dłuższy czas potem, moje trzy strzały na szczycie. Schodząc do koliby, zwyczajem myśliwskim, starał się rozwiązać cały ten dość skomplikowany rebus. Pierwszego kozła uznał za chybionego, bo widział go, jak walił z góry. Drugi strzał musiał być dobry, bo nie nastąpił po nim trzeci. Natomiast trzy strzały na szczycie nie bardzo były zrozu-

miałe. Uznał więc wkońcu, że mam jednego kozła, którego z góry dostrzeliwałem.

Kiedy zszedłem z góry, zastałem go przy drugim koźle, którego chłopak przyciągnął już. Natomiast zaskoczony był, kiedy zobaczył Gassnera, schodzącego z góry, mocno przygarbionego pod ciężarem pierwszego kozła.

— A co ten znowu tam niesie? — pyta zdziwiony.

— Ano, kozła — odpowiadam.

— Jakto, to dwa padły — przecież pierwszy był chybiony.

— Niezupełnie; — Postrzeliłem go, a potem doszedłem na szczycie i dostrzeliłem.

— A to szczęściarz — roześmiał się Mieh, — winszuję! Jak to było, niech pan opowiada pokolei.

Dalszy ciąg, ten zwykły, klasyczny. Uściski i powinszowania, potem opowiadania, wreszcie oglądanie zwierzyny i strzałów.

Okazało się, że mój pierwszy strzał był za niski. Kula ledwie zawadziła skośnie podbrzusze i strzaskała wysoko tylnią nogę. Drugi strzał był na komorze. Drugi kozioł strzelony był między żebra, ale trochę nisko, natomiast drugą kulę miał ulokowaną w idealnem centrum i przeszyła go ona całego wzdłuż. Biorąc pod uwagę dystanse, na które strzelałem, nie miałem tytułu do robienia sobie zbyt wielkich wymówek, ostatni zaś strzał był niezwykle udany.

Rozradowani, promieniejący, siedliśmy przy stoliku przed kolibą, pijąc gorącą herbatę i przeżywając wrażenia. W ciągu jednego dnia zdobyliśmy trzy kozły, pogoda nam niezwykle wprost dopisała, nałaziliśmy się po tych cudownych szczytach. Czyż można więcej żądać?

Właśnie słońce zaczęło się chylić przed nami poza poszarpaną linję śnieżnych szczytów. Dlaczegoż tu niema w tej chwili jakiegoś Norblina, czy innego młodego Matejki? Zdzierają oni swe pędzle wśród szarzyzny wielkomiejskiej, zamiast utrwalać dla ludzkości te cuda. Czy moje biedne pióro ma opisywać to zastygłe w swej potędze piękno niebotycznych szczytów, przystrojonych w biel śnieżną, niebywale podkolorowaną całą gamą fioletów, czerwieni i złota? — Nie, tego nie potrafię ani ja, ani też kolega Mieh.

JANUSZ REGULSKI.

Z cyklu „Leśne preludja"

PORANEK.

Z mlecznej bieli utkany
zbudził się świt.
W muślinach mgieł na horyzoncie,
ciemnieje las.
Wytoczył się czerwony dysk słońca.
Złociste strzały
ugodziły ziemię.
Poranek wstał, blaski położył
na myśliwskiej strzelbie.
Zapaliły się tęczowe krople rosy
i opadły, jak łzy.



Autorka przy pracy.

DZIEŃ.

Słońce kładzie się pieszczotą,
wykwita uśmiechem z za wachlarzy drzew.
Słoneczna strzała blasku dociera,
wabi w zielony gąszcz, gdzie skrył się cień.
Szczotką igieł najeżone, puszą się sosny,
wyzwalając żywiczne wonie.
Ptak zadzwonił radośnie na gałęzi,
motyl wzniósł się i opadł na kwiat.
Brzęczą pszczoły nad fioletem wrzosów —
odlecą, jak kule pełne złota.
Jest radośnie w ciepłym korytarzu lasu,
ze słonecznym pocałunkiem na ustach,
pachnącym miodem.

WIECZÓR.

Na skrzydłach spływa
szaro-niebieski mrok.
Jeszcze na zachodzie jasność nieba
wskazuje szlak odchodzącego słońca.
Płaszcz fioletu okrył już wschód,
opadł za ścianę lasu.
Nad czubami drzew, lotem nietoperza
przelatują sadze mroków.
Noc ogarnia w ramiona
znikający świat.
Śrutem złotym na niebie
rozbłysły gwiazdy.
Jak myśliwski róg, zawisł księżyc
i oznajmił nocne łowy.

NOC.

Noc czarna stoi
za ogniskiem.
Aksamitne skrzydła snu
dotykają skroni.
Puszczyk woła, sowa przelatuje,
świecą wilcze ślepia.
Ognisko blaskiem rozświetla
ściemniałe źrenice kniei.
Płomień opada nisko,
tuli się w żar.
Oparty o pień drzewa,
usnął myśliwy.

ZOFJA KELUS-LIPKOWSKA.



Z tropowcami na ślad — Fot. Z. Kelus-Lipkowska.

MOREK

Pani W., miłośniczce psów, poświęcam.

Morek jest mały i kusy. Bezchwosty się urodził. Ma rudą szerść, zawsze pełną ostów, lakierowany, błyszczący nos i ostrą lisią mordeczkę, wyrażającą spryt. Jedno oko żywe, koloru marcowego piwa, drugie jakieś zielonkawe, mdłe, jakby bielmem zaciągnięte. Widzi na oba doskonale. Biało zarysowana kamizelka szpeci czy też zdobi jego pierś. Jak kto woli.

Morek jest znajdą. Znalazłem go szczenięciem zagłodzonem i zdychającem pewnej późnej, szorstkiej już, zabrózdżonej, połałdowanej grudą jesieni. Rudego znajdka Barbara odchuchała, odkarmiła i odtąd po kuchni i kredensie szwendał się mały, o zawsze wypchanych bokach, nigdy nienasycony Morek, późniejszy złodziej, rozpustnik i żarłok — psi Gargantua i Don Juan w jednej osobie.

Morek był zawsze poważny i zamyślony, a jeżeli nie spał, to napewno jadł. Żadnych psich karesów, żadnych kundysich amicycyj nie uznawał, był wrogiem wszystkich psów. Szczenięciem jeszcze, niedwie powłócząc po ziemi wypchanym brzuchem, warczał i, szczerząc cienkie jak szpilki zęby, rzucał się z jakimś bulgotem w gardle na zachęcające go do figli psy podwórzowe, którym ledwie nosem do kolan sięgał.

Z początkiem zimy stary Król zamykał okiennice wcześnie, zaledwie fiolety zmierzchu kładły się woalami na pachnący jeszcze jesienią sad. Gdy słychać było szelest po zeschłych liściach, był to znak, że wkrótce Bukiet, Cygan, Nero i Norma w swawolnych susach, ziejąc różowemi jęzorami, wyładują nadmiar nagromadzonej z całego dnia energji.

Suta kolacja, prężąc mięśnie i nadając wartki rytm gorącej psiej krwi, musi znaleźć ujście. I ziemia aż dudni od psiej gonitwy. Świat jest przecież taki piękny, jęczmienna kasza z odtłuszczonem mlekiem i kartofle takie smaczne, powietrze ostre i rzeźkie, a przed niemi długa, zimowa noc — bez łańcucha i psim swędem zalatującej budy.

Morek, wyszturchany z kuchni przed dom, nie bierze udziału w tem wszystkiem. Uważa swój czas za bezpowrotnie stracony, jeżeli go nie strawi przy misce, albo zwinięty w kłębek na legowisku w ciepłym kącie przy piecu, na dziczej skórze. Rudy znajdek jest materjalistą. W chwili obecnej pragnie przedewszystkiem jeść i spać. I kiedy psia mama Norma, albo psi drużba Bukiet, z ogonem zawiniętym w obwarzanek, w susach uganiają się po „gazonie". Morek posępnie zadumany, jakby starając się przeniknąć fatalność swego losu, rozmyśla, co Barbarze, Klimie lub Nastce może zależeć na tem, żeby on marzł przed progiem kuchni.

Jakżeż drobiazgowe i nie znające psiej natury są dziewczęta dworskie! Morek nie chce na zawołanie spełniać tego, czego żąda od niego Barbara. I po raz nie wiem już który Bukiet zawstydzony, rozluźniając obwarzanek ogona, odchodzi, mając w uszach odgłos lekceważącego charkotu kusego szczeniaka. Dobrze mi tak — myśli zapewne — nie trzeba się poufalić z berbeciami. A Morek, zatopiony w sobie, patrzy, nie widząc na urażonego do głębi psiej jaźni Bukieta.

Rano zaś, kiedy uszu moich dochodzą pogwarki z oddalonej kuchni i trzask rozpalanego kominka, nieodmiennie słyszę lament Klimy:

— Ty rudzielcze, a bodajbyś się wścik, zarazo jedna — powietrza na ciebie nima. Już wytrzymać hoda.

Później krótki skowyt i cisza, przerywana szorowaniem podłogi.

A nazajutrz i przez całą zimę ranne nieporozumienia między służbą a Morkiem powtarzały się z małemi warjantami. Warjanty te polegały na tem, że Morek, boleśnie odczuwający niewłaściwość swego postępowania i najgłębiej przekonany, że jedynem jego przestępstwem jest obraza froterowanej posadzki, zmieniał teren bądź na szorstki dywan, bądź na chłód skórzanych klubowych foteli.

Do dziś nie rozumiem, co ja właściwie zobaczyłem w wychudzonym, rudym szczeniaku i co mnie natchnęło, aby tego znajdka zabrać ze sobą i powierzyć opiece cierpliwej i cichej Barbary. Może wpłynął na mnie nastrój szarego, chłodnego dnia jesiennego, a może tkwiąca w zakątkach mej pamięci jakaś zasłyszana w dzieciństwie, wzruszająca sierocą dolą psia historja. Przecież nie zabrałem go chyba tylko po to, aby był utrapieniem służby domowej. Warto zaznaczyć, że właśnie z Morka powodu tej zimy podziękowały za pracę dwie pokojówki i chłopak kredensowy.

Trudno sprecyzować, co było przyczyną mojego sentymentu dla Morka. Mógł to być kaprys falistych zwojów mózgu, przebłysk jakiejś idei, może zachcianki, skomplikowany aparat do rozsyłania krwi, potocznie zwany sercem, wpływy otaczającego nas krajobrazu, jakaś rozmowa kiedyś prowadzona, może podobieństwo do lisa bez kity, może inteligencja i spryt ostrej, o szerokiem czole i różnokolorowych źrenicach fizjonomji, a może fakt, że, zabierając go ze sobą, uratowałem od niechybnej śmierci głodowej, a zresztą djabli wiedzą co — dość, że rudego kundelka polubiłem.

Polubiłem i mam wrażenie, że byłem jedynym człowiekiem, którego Morek, nad wyraz skąpy we wszelkie objawy uzewnętrzniania swych uczuć, darzył jaką taką uwagą. Wyczuwałem to, kiedy zbliżałem się do zwiniętego w kłębek żarłoka po rannej porcji kijów, czy też kiedy głosem tylko mitygowałem zbyt krewkie postępowanie Felka lub Nastki, echo którego dochodziło mnie zdaleka. Z wiekiem Morek nawet skowytem nie reagował na odbierane kije i tylko po intensywności młócki w przedpokoju czy w kredensie, lub po wykwincie i pomysłowości wyrażeń, dobiegających z placu boju, domyślałem się, że z Morkiem nie żartują.

Rudy, podrastający wówczas kundel, błyskiem swego bronzowego oka, jakiemś swoistem ziewnięciem i otarciem się o nogi na koci sposób, wyrażał swoją wdzięczność. A czasem do tego stopnia posuwał objawy sympatji, że raczył odprowadzać mnie na gumno, wyrzekając się wygodnego i nagrzanego kąta.

Wówczas to, z lakierowanym nosem, tuż przy lewej cholewie, Morek postępował ze mną krok w krok, poważnie, jak w hypnozie, i tylko niemy wyraz wyrzutu odmalowany na jego lisim pyszczku zdawał się pytać: po ki czort na taką pluchę czy mróz pętać się po stajniach i oborach, czy nie lepiej w domu, przy piecu?

Ten niemy wyraz psiego wyrzutu prześladował mnie również podczas słonecznych, pięknych zimowych dni, kiedy to śnieg pod stopą chrzęści, pomrukując, a płuca wietrzy wyzłacany promieniami, mroźny podmuch. Nie mogę sobie przypomnieć, żeby Morek kiedykolwiek pobiegał, rozruszał się, pofiglował. Był zawsze smutny i melancholijny, jakby jakaś ciotka, na której poważny spadek liczył, przeniosła się w zaświaty, rujnując jego złudzenia. Zdawało się, że cały wszechświat jest jednym jękiem dla tego psa. Nawet przy pełnej misie i bezpośrednio po niej, kiedy największemu pesymiście przez pryzmat błogiego trawienia świat różowieje, jemu wszystko zdawało się beznadziejnie czarne.

Z końcem zimy wyjechałem w czteromiesięczną podróż. Postępując konsekwentnie, poleciłem znajdę dalszej opiece Barbary. Pochlebstwem i tytoniem przekonałem Króla, że Morek wyrośnie na psiego genjusza, sam, przyznam się, ani na chwilę w to nie wierząc. Było to konieczne, bo nieustępliwy Morek zdążył już kilkakrotnie w bójkach, które sam nota bene wywoływał, odnieść i zadać takie rany, że tylko dzięki leczniczym właściwościom psiego jęzora kończyły się te „draki" pomyślnie.

Otóż temu to Królowi wytłomaczyłem, że Morka musi bronić i chronić, bo z psa tego wyrośnie i t. d. i t. d. Krótko — łgałem, plotłem duby smalone, wywodząc nieomal rodowód Morka od słynnych na całą okolicę łajek-dzikarzy dr. T.

Wróciłem do domu w drugiej połowie maja. Odrazu musiałem wysłuchać całej litanji jęków i narzekań Barbary, które miały być usprawiedliwieniem, dlaczego zdecydowała się, mimo moich zakazów, umieścić psa w drewutni.



Minister Szwedzki Boheman na polowaniu w Baszkowie.

Zobaczyłem, zamiast nieforemnego psiaka, dużych rozmiarów lisa bez kity. Nawet to zielonkawe oko, które zdawało się być pod mgłą, rozjaśniło się i chociaż daleko mu było do pięknego koloru marcowego piwa, to jednak cokolwiek zbronzowiało. Powitał mnie roczny pies, szeroki w piersiach, rozrosły w krzyżu, na mocnych nogach i mimo nieposkromionej żarłoczności zwięzły i podkasany.

Powitał — to pewna przesada. Morek powstał, owszem — powstał, otarł się swoim, a raczej kocim zwyczajem o kolana, których już prawie sięgał, ale nie zrobił nic, co wchodzi w zakres psiego ceremonjału powitalnego. Merdać oczywiście nie miał czem i z tego go rozgrzeszyłem, ale żeby podskoczył, językiem mlasnął, oparł się przedniemi łapami o mnie — o tem mowy nie było.

Psiak, jak już powiedziałem, miał flegmę, samoopanowanie i zwyczaje właściwe raczej „lordom z mglistego Albionu", niż kundlom z zapadłego kąta Lubelszczyzny.

Ja jednak wmawiałem sobie, że Morek cieszy się z mojego powrotu i wita mnie z podróży. Trudno, lubiłem tego drania. Morek zaczął mi asystować. Stale i jak zwykle na smutno. Kiedy konno wyjeżdżałem w pole, Morek wyprzedzał mnie, aby uniknąć kurzu, którego nie znasił, a kiedy pieszo — nigdy nie uczony, kroczył zawsze tuż przy nodze.

Biada jednak, jeżeli oddalałem się na dzień, dwa z domu. Lamentująca delegacja z czworaków, narzekania gospodyni:

— Bo to proszę pana dziedzica, byle mógł dopaść, zaczaił się ścierwo gdzieś: kwokę za łeb, a kurczęta, jak kluski, razem z pierzem... Zarazy na niego nima.

Rozczarowałby się jednak ten, ktoby przypuszczał, że z wiekiem i proporcjonalnie do tego otrzymywanemi kijami kundel pozbędzie się nieprzystojnych nawyków. Wprawdzie drób dworski i służby folwarcznej przestał znikać, Morek jednak trzeźwo wykalkulował, że to się nie opłaci, za to sąsiednia wieś zaczęła płacić gruby haracz. Szczeniak bowiem, gdy tylko raz zauważył, jak niechętnem okiem patrzę na tłumy spacerujących po folwarcznych polach gęsiąt i kuraków, aż nazbyt gorliwie zajął się stróżowaniem szmaragdowych runi wiosennych łanów. Stał się postrachem wiejskich gospodyń.



Wykopalisko z rzeki Prosny w Grabowie Pozn.
Fot. B. Kocialkowski.

Ba, nietylko drób, ale miłe, różowiutkie prosięta i podświnki, a nawet całkiem dorosłe wieprze miały sposobność przekonać się, jak ostre ma kły i jak zręczny i szybki potrafi być niemrawy zazwyczaj Morek.

Nie obyło się też bez dramatu. Bo kiedy razu pewnego wracałem z objazdu folwarków, zobaczyłem w zbożu gromadkę świnek. Furja, jaką rozwinął towarzyszący mi Morek, była tego rodzaju, że zanim zdołałem umitygować jego gorliwość, jedno z nieszczęsnych prosiąt legło odrazu, a drugi podświnek, już z kokieteryjnie zakręconym ogonkiem, brocząc posoką z postrzępionych portek i kwicząc przeraźliwie, uchodził z pola.

Wówczas to po raz pierwszy zaczęła mi świtać myśl, że duby smalone, jakie naplotłem Królowi, nie są może tak zupełnie pozbawione słuszności. Sposób atakowania, błyskawiczna szybkość, jaką roczny wówczas szczeniak okazał, były zdumiewające.

Blady strach padł na cały prosięcy ród i ich opiekunów.

A używał sobie Morek w tych swoich szczenięcych miesiącach coniemiara.

Nadszedł czas, kiedy „wszechwładny Eros" wtrącił się burzą do życia Morka i wstrząsnął jego istotą do tego stopnia, że okresowo zapominał o najważniejszych dla niego dotychczas rzeczach — o jedzeniu i spaniu.

Bieda jednak polegała na tem, że swój brak poczucia umiaru Morek zachowywał we wszystkich sytuacjach. Nie miał pojęcia o tem, co to jest takt i nie liczył się nigdy z uczuciami innych. On sam był dla siebie istotą najważniejszą i najbardziej godną. Otoczenie nie mogło mu tego darować. Tego widomym znakiem były coraz liczniejsze blizny i „fachowo" postrzępione uszy.

Z początkiem lata Morek nagle znikł. Łatwo mi było domyślić się, co było tego przyczyną. Nieobecność jego trwała wówczas dziesięć dni. Gdy go zobaczyłem po jego pierwszym *liaison*, przedstawiał rozpaczliwy obraz. Sodoma i Gomora tchnęły z niego. Był zbity i sponiewierany. Biała kamizelka zaszargana, uszy w strzępach, boki zapadłe i skudłacone, morda we krwi. Gdybym wiedział, że istnieją jakieś psie karczmy lub dancingi, gotów byłbym przysiądz, że Morek się zatacza, a wódą od niego jedzie „na sto sześć".

Morek wracał z psiego wesela. Spał potem trzy dni i trzy noce. A sen swój przerywał tylko po to, aby pochłaniać nieprawdopodobne ilości przygotowanego dla niego jadła. Łapczywie nadziewał swoje nigdy niesyte wnętrze. Szybko się poprawił i wyleczył językiem rany.

Jesienią stał się już głównym psim marszałkiem w tego rodzaju okazjach. I „śmiech pusty" porywał, kiedy o połowę nieraz mniejszy od „panny młodej" i reszty gości weselnych, przewodził na smutno ceremonjom psich zaślubin.

Wracał później w stanie takim samym, jak za pierwszym razem, niewielkie różnice polegały na tem, że rany, które otrzymywał w bójkach, były nieco inaczej rozlokowane.

Jeżeli to miało miejsce jesienią, to wracając wstępował do parnika, gdzie wprzód opychał się przygotowanemi dla koni parowanemi kartoflami. Ta drobnostka, że często były one już zmieszane z sieczką, nic dla niego nie stanowiła. Jeżeli udało mu się wślizgnąć do chlewni, dopełniał swego menu z korytka. I — spać.

Taki był. I nigdy uśmiechu. Wszystko robił gruntownie, wszystko traktował poważnie, a bójki jego z weselnikami często przybierały epilog śmiertelny. Nie walczyło z psami to półdjablę, ale poprostu zagryzało je jakimś charcim, piorunującym sposobem.

Zdarzyło się raz że Morek przywlókł się w takim stanie, iż nawet jeść nie chciał. „Draka" musiała być bardzo krwawa — brzuch miał rozpłatany. Nie zareagował nawet na ciepłe mleko, które mu podsunęła troskliwa Barbara, widząc jego opłakany stan. Ale nic, wylizał się z tego. W kilka tygodni później odwiedził mnie jeden z sąsiadów, biadając nad zagadkowem zniknięciem w ciągu lata i jesieni kilku swoich psów. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że była to sprawka mego znajdy.

Tego roku zima była ostra. Żołądź obrodziła. Dzików było dużo. Do jednego wśród lasów położonego folwarku przychodziły pod same zabudowania, ryjąc chrzęszczące odpadkami warzywniki służby folwarcznej, niszcząc kopce z kartoflami i sterty w polu.

Jednego dnia wracałem z oddalonego miasteczka powiatowego, mając Morka w nogach. Zabierałem go poprostu po to, żeby mi grzał nogi, gdyż mogłem być pewny, że kiedy zwinie się w kłębek i znajdzie dogodną dla siebie pozycję, będzie nieruchomo tkwił w saniach, choćby miał jechać do Meksyku.

Zbliżałem się ku domowi. Wczesny zimowy zmierzch ledwo krasił ziemię. Paweł, furman mój, zwrócił uwagę na trop dzika, który przecinał drogę, kierując się ku czerniejącemu dworskiemu lasowi.

Broni ze sobą nie miałem, a zresztą ani przez myśl mi nie przeszło wówczas, że rozleniwiony znajda zechce zainteresować się ledwo widocznym tropem. Paweł jednak inaczej sądził. Było to prawdopodobnie wynikiem bajań nocnego stróża, który podczas długich nocy zimowych nieliczne, wolne od snu chwile spędzał na gawędach z chłopcami stajennymi, a cierpiąc na wyjałowienie tematów, wysławiał mego Morka.

Wywlokłem za ryże kudły psa z sanek i, ukazawszy mu trop dzika, poszczułem bez przekonania. Morek uprzednio flegmatycznie i z całą rozwagą wyciągnął się, aż w stawach zatrzeszczało. Ziewnął przeraźliwie od ucha do ucha, zwinąwszy język w trąbkę. Wietrznikiem przypadł do tropu i aby zadokumento-

wać zadowolenie, w braku czego innego, pokręcił kusym zadkiem. Po raz pierwszy wyczułem w psie jakiś radosny odruch.

Z początku wolno i milczkiem zaczął posuwać się śladem, aby po chwili tylko małą, rudą plamką zamigotać na śniegu. Ochota, z jaką pies poszedł tropem, skłoniła mnie, abym rozkazał furmanowi co koń wyskoczy przywieźć mi broń i drugiego psa. Sam pobiegłem za Morkiem.

Pies ten, nigdy nieukładany kundel, gdy dobiegł lasu o bardzo gęstem podszyciu, na skraju zatrzymał się, czekając na mnie. Ledwie się zbliżyłem, pobiegł w gąszcz i po krótkim czasie, dążąc za nim, usłyszałem lube dla ucha głoszenie. Nie ulegało wątpliwości, że pies atakuje dzika. Gdy wreszcie janczary oznajmiły, że Paweł już jest, porwałem dubeltówkę nabitą żakanami i z drugim psem, którego głos zlał się już z jazgotem znajdy, tak szybko, jak tylko gęste podszycie pozwoliło, zacząłem podchodzić.

W chwili, kiedy się zbliżyłem, odyniec, znudzony psiemi głosy, raczył powstać z mrowiska i narazie obojętnie, „świńskim truchcikiem", przystając i kłapiąc, poszedł dalej. Gdybym miał wówczas większe zaufanie do Morka i nie sprowadzał akompanjatora, byłbym doszedł zwierza w legowisku i z bezpośredniej odległości gładko strzelił.

Rudy kundel, widząc mnie i mając drugiego psa, formalnie żłobił zadniemi łapami brózdy w śniegu, czepiając się dziczych portek i atakując z całą furją najbardziej czułe miejsca odyńca. Takiej zręczności, jaką okazywał w błyskawicznej rejteradzie, przed chwilą jeszcze wczepiony, wżarty w szynki zwierza, nie dokaże nawet akrobata — foksterjer.

Morek w momencie gdy dzik, odpędziwszy psy, siadał i groźnie fukając — kłapał, nieodmiennie znajdował się w bezpiecznej odległości i cały skłębiony i zwarty, jękliwie i spazmatycznie głosił wroga.

Mały był nieubłagany i nie dawał długo spoczywać dzikowi. Coraz zajadlej, coraz szybciej, korzystając z najmniejszej nieuwagi, doskakiwał do zwierza i wkrótce śnieg popstrzył się rubinami dziczej posoki.

Absolutna nieuchwytność Morka, mimo zwrotności i lekkości dziesięciopudowego przeciwnika, wprost poczucie własnej ważności psiej drobinki, atakującej olbrzyma, cały ten pojedynek, odbywający się z łomotem i chrzęstem, zamglony cudowną dekoracją z pyłu śnieżnego, który przy zwrotach dymem się unosił, stanowił widok tak niecodzienny, że przedłużałem jakby urzeczony moment finału.

W pewnej chwili Czub, niezręcznie manewrując, został zlekka pomacany szablą i wytrawny, stary dzikarz, wiedząc czem to pachnie, strachliwie skulony zrejterował, zostawiając Morka samego, a po chwili wstydliwy gniew jego ograniczył się tylko do naszczekiwania z gąszczu.

Dzik, mając tylko jednego wroga, nie ruszał się, a siadłszy już twardo, z coraz większą furją, pieniąc obficie gwizd, kłami zgrzytliwie kłapał, fukał coraz donośniej i gniewniej. Nie chciałem już dłużej nadwyrężać psa, zwłaszcza że dalsze ataki były dla niego o tyle groźniejsze, iż pomoc Czuba wyrażała się tylko w hałasie.

Wyczekałem chwilę dogodną i, prawie dotykając zwierza lufami, strzeliłem raz i drugi. Dzik skoczył i potykając się przednimi biegami, posunął się o parę kroków i ciężko zwalił się na bok, bluzgając posoką. Dobry odyniec, o równych, doskonale wykształconych, ostrych, jak brzytwy, szablach.

Podczas całego epizodu, od strzału do zwalenia się czarnego zwierza, Morek nie zbliżał się do przodu. I nawet w momencie dziczego „spisywania testamentu" pies błyskawicznemi napadami i natychmiastową rejteradą atakował tylko części zwierza, które były dla niego najmniej groźne. Dopiero z chwilą znieruchomienia dzika Morek wczepił się pełnym pyskiem. I kiedy Czub, „doświadczony bojownik", zbliżył się, aby pomścić strach, przed chwilą przeżyty, podzielić wiktorję i otrzymać łakomy psi kąsek — Morek, który jakby uśpiony trwał przy portkach dzika, skoczył i, błysnąwszy bielą zębów, z jakimś wściekłym charkotem dosiadł Czuba. Ten, nie próbując się nawet bronić, oparł się tchórzliwie dopiero przy saniach.

Tak, Morek nie chciał się dzielić sławą, jak wogóle niczem. I słuszne może miał po temu powody. Bowiem przy całej swej szaleńczej odwadze, przy całej nieopanowanej furji nikt jak on nie potrafił zachować zimnej krwi, zwrotności i tego poczucia dystansu, które mu pozwalały wykorzystać najdrobniejszą nieuwagę, najdrobniejszy błąd przeciwnika.

Celowa warjackość jego ataku była niewątpliwie wynikiem tego prainstynktu, który przodkom jego pozwalał na pokonanie wroga, przy możliwie najmniejszym zużyciu wysiłku, który trzeba było przecież oszczędzać w twardych warunkach rozbójniczego bytu.

Zimy tej wziąłem wyłącznie przy pomocy Morka, prócz opisanego, jeszcze cztery dziki. Morek z najwięcej zażartych, z najbardziej nieopanowanych ataków wychodził cało nietylko w gąszczu, gdzie łatwo mu było czmychnąć, ale i na otwartych polanach, na oparzeliskach pies ten odwagą i szybką, jak myśl, ba, szybszą od myśli zwrotnością unikał każdego niebezpieczeństwa. Nieraz mróz mi plecy łaskotał, gdy nagłe czepienie się walczących zakrywał pył śnieżny, albo kurtyna z zaschłych liści i igliwia. Zdawało się, że tylko strzępy z psa pozostaną, ale on po chwili ukazywał się w bezpiecznej odległości cały, może tylko jeszcze bardziej zjeżony.

Psy takie rodzą się raz na sto lat i to nie na zamówienie. Szeroko rozeszła się Morkowa sława. Zaczęli mi go zazdrościć.

*

Zaraz po wojnie bolszewickiej ukazała się duża ilość lisów w naszej okolicy i często na sterciskach można było zauważyć, jak żerujące — wyskakiwały, łapiąc myszy. Prawdą jest, że trudno było wówczas strzelić dobrego mykitę. Dobrego — myślę w sensie utylitarnym, przeważna bowiem ich część, wskutek skórnej choroby, która się wówczas nagminnie panoszyła, miała kity oblazłe. Ale tem niemniej podjazd rabusia saniami był dostatecznie frapujący, aby niejednokrotnie wczesnym rankiem wyjechać i wrócić zmarzniętym na kość późnym wieczorem, albo zgoła przenocować u któregoś z sąsiadów.

Rozumie się, że Morka pełniącego swoją funkcję grzejnika, no i wogóle na wszelki wypadek, zabierałem z sobą.

Po strzale, gdy lis zostawał w ogniu — była to sprawa dla Morka najzupełniej obojętna. Interesował go tylko lis ranny, który swoim zwyczajem sznurował w stronę jakiegoś zagajnika, debry, czy lasu. Morek nie tracił czasu na daremną gonitwę, za mądry był na to. Wyskakiwał z sanek i chyłkiem, sam mało różniący się od mykity, zabiegał krótszą drogą i oczekiwał go nieomylnie we właściwem miejscu, aby w odpowiednim momencie wziąć go, jak chart, z wierzchu i śmiertelnie.

Pudło, które się nieraz zdarzało, gdy zgorączkowany lub wytrzęsiony po długim i bezskutecznym objeżdżaniu oraniny, zaledwie pokrytej śniegiem, źle wyceniłem odległość, do tego stopnia nie robiło na nim wrażenia, że po strzale, ledwie wysunąwszy łeb z pod baranicy, natychmiast kłębkiem układał się na wygrzane miejsce, senny i znudzony.

Zdawało się wówczas, że nieokrzesany kundel, dla zaoszczędzenia mi konfuzji, nie chce na mnie spojrzeć, aby nie zdradzić kpiarskim okiem lekceważenia, jakie dla mnie odczuwał.

Apetyt mego psa był nadal nienasycony. Wiosną czy latem, podczas przymusowej bezczynności kradł, rozbijał — a na weselach nic nie stanowiło dla niego przeszkody. Żadna etyka, żaden psi kodeks nie hamował jego temperamentu. Ciekawe, że jakby szukając kontrastu, największym afektem pałał do miłośnic, którym swobodnie mógł spacerować pod brzuchem. Wycieczki jego podczas tego rodzaju okazyj stawały się coraz dłuższe, a w miarę trwania ich wracał w coraz bardziej opłakanym stanie. Zdawało się, że cały zapas pochłanianych w nieprawdopodobnych ilościach pokarmów gromadził, aby mieć czem szafować na psich weseliskach — ten hulaka, Don Juan i pijaczyna.

Tak, nie waham się tego tak nazwać. Przecież nietylko alkoholem można się upijać. Upijał się bladym strachem, jaki siał pośród rywali, upijał się uległością i poddaniem, z jakiem amory jego przyjmowały najszlachetniej urodzone bogdanki.

Nie było sposobu utrzymać go w domu. Kiedy w obawie o jego całość, mimo wewnętrznego buntu, wiązałem go, pies, wyczuwając weselisko, niknął w oczach. Rozumiałem jego męki, a zbyt go lubiłem, aby dla egoistycznych względów pozbawiać istotnej treści życia. Wystarczyło, aby Morek zajęczał cichutko raz, drugi, a potem zawył ponuro i wstrząsająco, skarżąc się na dolę swoją niewolną, a już miękłem. Morek był wolny i znikał.

*

Cierniem będzie wiecznie tkwił we mnie ten ranek, ten smutny, pożółkły, bielą szronu usztywniony, wiejski, szary ranek.

Słychać było odzew pojonego bydła, metaliczny dźwięk, dochodzący z kuźni, dudnienie wozów po grudzie.

Z kredensu dolatują jakieś szmery, szepty, pochlipki — aż wreszcie wybucha bolesne tłomaczenie Barbary:

— A bo to wi kto, kiedy wróci. Raz wróci rano, raz w nocy. O! zaraz z wieczora kazałam Nastce wystawić miskę z gorącym krochmalem pod kasztan. Jakem wyszła, połowy już nie było. A teraz, o Jezu! — leży o tam, biedny Morek.

M. G.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

PROTOKÓŁ WOJEWÓDZKIEGO WALNEGO ZGROMADZENIA CZŁONKÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO NA WOŁYNIU, ODBYTEGO W DNIU 17 WRZEŚNIA 1937 ROKU W ŁUCKU.

Obecne są 32 osoby, a mianowicie przedstawiciele władz, członkowie Woj. Rady Łow., Łowczowie Powiatowi, delegaci z powiatów.

Łowczy Wojewódzki p. Roman hr. Potocki wita Łowczych, Delegatów i Podłowczych i odczytuje nadesłane depesze z życzeniami pomyślnych obrad od Prezesa Pol. Zw. Łow. Pana Generała Kazimierza Sosnkowskiego oraz od Centrali.

Na wniosek Przewodniczącego p. Romana hr. Potockiego Walne Zgromadzenie powołuje na asesorów: mjr. Władysława Bejera, p. Józefa Steckiego, Dr. Sergjusza Doganowskiego i prof. Jerzego Górskiego, zaś na Sekretarzy: inż. Jana Majkuta i p. Stanisława Madeyskiego.

Przewodniczący udziela głosu p. St. Madeyskiemu, który odczytuje protokół poprzedniego Walnego Zgromadzenia z dn. 26.VI.1936 r.; protokół ten przyjęto bez zmian.

Łowczy Wojewódzki wygłasza sprawozdanie następującej treści:

Dnia 13 sierpnia r. b. zmarł p. Konstanty Gadomski, Sekretarz Powiatowej Rady Łowieckiej w Zdołbunowie, wybitny myśliwy, który położył wielkie zasługi zarówno przy organizacji b. Wołyńskiego Stowarzyszenia Łowieckiego, jak i obecnie wybitnie się przyczynił do reorganizacji dawnej Powiatowej Rady Łowieckiej na mocy nowego statutu Polskiego Związku Łowieckiego.

Pamięć zmarłego proszę uczcić przez powstanie, składając tem hołd ś. p. zmarłemu, którego św. Hubert powołał do swego orszaku.

Rok 1936 był przełomowym w organizacji łowiectwa całej Polski. W dn. 5 grudnia ub. roku został zatwierdzony przez Komisarza Rządu m. Warszawy nowy statut Pol. Zw. Łow., który tem samem ma moc obowiązującą w całej Polsce.

Z chwilą otrzymania wiadomości o zatwierdzeniu statutu, stosownie do uchwały Walnego Zgromadzenia Woł. Stow. Łowieckiego, w czerwcu ub. roku, Woł. Stow. Łow. zostało jako takie zlikwidowane. Z dniem 1 stycznia b. r. zaczęła działać na terenie Wołynia Woj. Rada Łowiecka, a Zarząd poprzedniego Woł. Stow. Łow., wybrany na ostatniem Walnem Zgromadzeniu, stał się Woj. Radą Łowiecką.

Równocześnie zostały rozesłane do Pow. Rad Łow. zlecenia, by przedstawiały kandydatów na Łowczych Powiatowych, oraz by zjednywały członków do Pol. Zw. Łow. wraz z podpisywaniem odnośnych deklaracji i wpłaceniem rocznej składki członkowskiej.

Woj. Rada Łow. powołała z pośród przedstawionych kandydatów, po uzgodnieniu z władzami administracji państwowej— Łowczych Powiatowych, a następnie, w miarę nadsyłania przez Pow. Rady Łow. wykazów kandydatów na Podłowczych, zostali i ci przez Woj. Radę Łow. powołani. O nominacjach Urząd Wojewódzki zawiadamiał poszczególne Starostwa.

Dziś wszystkie powiaty posiadają Łowczych Powiatowych.

Dążeniem naszem jest, by sieć Podłowczych odpowiadała możliwościom należytego wykonywania włożonych na nich obowiązków, przeto ze względu na rozległe obszary powiatów i gmin dążymy do tego, by na każdą gminę był powołany Podłowczy, co też w bardzo wielu powiatach ma miejsce. Rzeczą jest pp. Łowczych, by to zamierzenie nasze było wykonane w całej rozciągłości.

Wiosną b. r., już po powołaniu Łowczych Powiatowych, odbyły się dwa Zjazdy Łowczych Powiatowych, w Równem i Kowlu, traktowane w formie odprawy, na których członek n/Prezydjum, p. Stanisław Madeyski, podawał szczegółowe instrukcje pp. Łowczym.

W ciągu bieżącego roku odbyły się we wszystkich powiatach zjazdy łowieckie, na których zostały powołane Pow. Rady Łow., stosownie do wymagań statutu Pol. Zw. Łow. Na zjazdach tych był prawie wszędzie obecnym członek n/Prezydjum p. Stanisław Madeyski, który wygłaszał odpowiednie referaty i dawał wyjaśnienia na wszelkie poruszone tematy.

Obecnie na terenie Wołynia na dzień 15.IX r. b. posiadamy członków 337, w tem 320 zwyczajnych i 17 nadzwyczajnych, wedle powiatów jak niżej: Dubno 68, Łuck 48, Krzemieniec 47, Równe 40, Sarny 28, Włodzimierz 26, Kostopol 24, Kowel 21, Zdołbunów 18, Luboml 11, Horochów 6.

Chcąc usprawnić działalność Pow. Rad Łow. tak pod względem organizacyjnym, jak i wykonywania wynikających ze statutu obowiązków, jakie na Radach ciążą — Woj. Rada Łow. na jednem ze swych posiedzeń powołała członka n/Prezydjum p. Stanisława Madeyskiego na Inspektora Powiatowych Rad Łowieckich.

Od ostatniego Walnego Zgromadzenia odbyło się 6 posiedzeń Zarządu.

W związku z prowadzoną powszechnie akcją zimową pomocy bezrobotnym została wydana odezwa do Pow. Rad. Łow. w sprawie opodatkowania się myśliwych na rzecz Komitetu Pomocy Zimowej bezrobotnym, względnie odstępowania części ubitej zwierzyny na rzecz kuchni, prowadzonych przez zimowe komitety. Odezwa ta nie pozostała bez echa, albowiem np. myśliwi powiatu sarneńskiego zebrali na ten cel około 100 zł., w innych zaś powiatach część ubitej zwierzyny odstępowano na rzecz komitetów

Na wniosek Pow. Rad Łow. zostali przedłożeni Centrali kandydaci do odznaczeń Bronzowym Medalem Zasługi Łowieckiej: dwóch komendantów posterunków P. P. oraz jeden gajowy, za wybitną z narażeniem własnego życia walkę z kłusownictwem. Niezależnie zaś od odznaczenia medalem, jednemu z komendantów P. P. Woj. Rada Łow. uchwaliła wypłacić nagrodę w wysokości zł. 50.

Na urządzone przez Sekcję Myśliwską Wojskowego Koła Sportowgo premjowe strzelanie w dniu św. Huberta Zarząd nasz ofiarował nagrodę za strzał podwójny do dzika.

Stosownie do porozumienia się z Urzędem Wojewódzkim, podania o odstrzał sarn-kóz, skierowywane bezpośrednio do Urzędu Wojewódzkiego, ten ostatni odsyła do zaopinjowania Woj. Radzie Łow., poczem dopiero są wydawane zezwolenia.

Chcąc ułatwić dogodną sprzedaż ubitej zwierzyny łownej w naszych łowiskach — dotyczy to głównie dzików i odstrzelonych sarn — weszliśmy w porozumienie z firmami, nabywającemi zwierzynę.

Dowodem intensywnej pracy Zarządu było to, że w okresie sprawozdawczym, t. j. od odstatniego Walnego Zgromadzenia zostało wysłanych — do 31.II.1936 r. 85 pism, zaś od 1 stycznia r. b. po dzień dzisiejszy 464 pisma.

Biuro Woj. Rady Łow. mieści się w wynajętym lokalu, obecnie przy placu Trynitarskim 3, gdzie stale w określonych godzinach pracuje.

Jeśli chodzi o stosunki łowieckie na terenie Wolynia, to te z każdym rokiem się poprawiają. Widać, że praca nasza, czy to poprzednio Woł. Stow. Łow., czy to obecnie już Woj. Rady Łow., daje poważne rezultaty. Do tego wybitnie przyczynia się stanowisko, jakie w tej sprawie zajął nasz Wojewoda, Pan Minister Józewski, który w zrozumieniu znaczenia prac ideowego stowarzyszenia, już przed dwoma laty polecił pp. Starostom, by współdziałali z organami Woł. Stow. Łow. na terenie powiatów, zaś w roku bieżącym, powołując się na pismo okólne Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z dn. 27 sierpnia 1936 r., wydał w dniu 25 marca b. r. okólne pismo do pp. Starostów, by przy wydawaniu i prolongowaniu kart łowieckich pp. Starostowie zasięgali opinji Pow. Rad Łow. o każdym petencie i by ta opinja była podstawą załatwienia. Równocześnie w tem piśmie zlecił Pan Wojewoda zastosowanie właściwych środków dla zwalczania wszelkich przestępstw prawa łowieckiego.

Za to tak przychylne ustosunkowanie się do łowiectwa Pana Wojewody niech mi będzie wolno, jako Łowczemu Wojewódzkiemu Pol. Zw. Łow., wyrazić Mu gorące podziękowanie.

Kilkakrotnie na poprzednich Zjazdach Walnych było podawane, że obowiązujące z dn. 3.XII.1927 r. prawo łowieckie ma uledz zmianom. Stosownie do posiadanych konkretnych wiadomości, na jesienną sesję sejmową do laski marszałkowskiej zostanie złożony projekt noweli do prawa łowieckiego jako projekt rządowy, opracowany wspólnie przez Ministerstwo Rolnictwa i Pol. Zw. Łowiecki.

W całym szeregu paragrafów podkreśla to nowe prawo łowieckie charakter i znaczenie Pol. Zw. Łow. i jego organów, wprowadzając wiele zasadniczych, bardzo ważnych postanowień. Jednem z nich jest to, że kartę łowiecką może dostać tylko członek Pol. Zw. Łow. oraz że dzierżawcą terenów łowieckich mogą być tylko członkowie Pol. Zw. Łow. względnie stowarzyszenia - Kółka, których członkowie są członkami Pol. Zw. Łow.

Nowe prawo łowieckie bardzo szczegółowo mówi o obwodach łowieckich, o tworzeniu i rejestracji ich, o strażnikach łowieckich, o obwodach ochronnych, o ograniczeniu polowania na pewne gatunki zwierzyny w razie ich wybicia i o wielu innych sprawach, które mają na celu i dążą z jednej strony do podniesienia łowiectwa, z drugiej strony do nałożenia hamulców na tych, którzy nie są godni noszenia miana myśliwego.

Również nowe prawo łowieckie nakłada wielką odpowiedzialność na organy Pol. Zw. Łow., albowiem wyraźnie mówi w poszczególnych paragrafach o roli, jaką te organy mają w stosunku do administracji, a przeto ciężar odpowiedzialności za cały szereg zarządzeń władz administracyjnych tem samem spada na naszą organizację.

My tę odpowiedzialność przyjmujemy na siebie i rzeczą jest naszą, by sprostać temu zadaniu, albowiem zdajemy sobie sprawę, że od nas samych zależy, by podnieść łowiectwo, a z chwilą wejścia w życie nowej ustawy nie możemy rąk opuścić, lecz z zapałem podjąć się ciążących na nas zadań.

Skarbnik p. Witold Maciejewski zdaje sprawozdanie finansowe, podkreślając, że sprawozdanie to będzie za okres czasu po dzień 31.XII.1936 r., a więc z działalności Woł. Stow. Łowieckiego, a mianowicie:

saldo na dz. 1.I.1936 r. wynosiło	zł.	69,45
ze składek wpłynęło	„	458,75
otrzymano ze sprzedaży „Jednodniówki"	„	42,25
%% w Państwowym Banku Rolnym	„	0,48
Razem	zł.	570.93

Rozchód wyniósł w 1936 roku zł. 535,32, tak, że saldo gotówki na dz. 31.XII.1936 r. wynosiło zł. 35,61. Zarząd Woł. Stow Łow. jakkolwiek miał uchwalony preliminarz w roku ubiegłym znacznie większy, to jednak prowadził gospodarkę tego rodzaju, by z osiągniętych wpływów pokryć wydatki. W roku ubiegłym niestety zawiedli członkowie Woł. Stow. Łow., którzy wykazali w wielkiej ilości zupełną bierność w płaceniu składek.

Woł. Stow. Łow. pozostawiło zobowiązania w wysokości zł. 469,10, które winny być pokryte z zaległości Pow. Rad. Łow., które to zaległości wynoszą zł. 600,—.

Przewodniczący otwiera dyskusję nad obu sprawozdaniami. Na zapytania dotyczące głównie sprawozdania finansowego udziela informacji Skarbnik.

Przewodniczący Komisji Rewizyjnej, p. Apolinary Jackiewicz, odczytuje protokół Komisji Rewizyjnej, która przeprowadziła szczegółową rewizję ksiąg Woł. Stow. Łow. za czas od 1.I.1936 r. do 31.XII.1936 r. i stwierdziła prawidłowe i staranne prowadzenie ksiąg, oraz nadzwyczaj oszczędne uskutecznianie wydatków, wobec czego stawia wniosek przed Walnem Zebraniem przyjęcia sprawozdania Zarządu do zatwierdzenia i udzielenia Zarządowi absolutorjum.

Przewodniczący stawia wniosek Komisji Rewizyjnej pod głosowanie. Zebrani jednogłośnie przyjmują ten wniosek.

Skarbnik odczytuje preliminarz budżetowy na rok 1937, który po stronie dochodów wynosi zł. 5.000.—, a to: wpływy ze składek członków zł. 4.400.—, wpływy z zaległości Woł. Stow. Łow. zł. 600.—; po stronie wydatków zł. 5.000.—, a to: 50% składek członkowskich do Centrali zł. 2.200.—, subwencji Pow. Rady Łow. zł. 500.—, wyrównanie zobowiązań Woł. Stow. Łow. zł. 469.—, utrzymanie biura (pensja pracownikowi, wynajęcie lokalu, sprzątanie, opał, porto, telefony, materjały piśmienne) — zł. 1.100.— kupno inwentarza (maszyna do pisania i urządzenie biura) — zł. 390.—, koszty podróży zł. 300.—, nagrody i różne zł. 141.—.

Preliminarz ten Walne Zgromadzenie zatwierdza.

W dalszym ciągu Skarbnik podaje do wiadomości sprawozdanie z wykonania budżetu po dz. 15 b. m., wedle którego widać, że wydatki są czynione ściśle wedle budżetu. Wszelkie zobowiązania zlikwidowanego Woł. Stow. Łowieckiego zostały wyrównane, w tem i zaległości Woł. Stow. Łow. do Centrali. Obecnie co miesiąc przekazuje się do Centrali 50% wpłaconych do Woj. Rady Łow. składek członkowskich.

Pan Wacław Podhorski w bardzo szczegółowym i głęboko ujętym referacie omówił o dziku najważniejsze momenty, tak dotyczące granic osiedlenia dzika, jego zwyczaje, odżywianie się naturalne, oraz sposoby i rodzaj dokarmiania i wogóle hodowlę, jak również podkreślił pożyteczność dzika dla lasów, którego szkody nie stoją w żadnym stosunku do korzyści, jakie dzik daje, niszcząc pędraki i inne szkodniki leśne, spulchniając przytem glebę.

Następnie prelegent poruszył zachowanie się dzika względem innych zwierząt łownych, jak również stosunek do potomstwa i podkreślił, że przodownikiem stada nie jest odyniec lecz maciora, która wodzi za sobą kilka swych pokoleń i dla tego specjalnie winna być ochraniana.

Również wspominał o rodzajach i sposobach polowań na dziki.

Za referat wygłoszony z wielką swadą i znajomością naukową rzeczy, zebrani oklaskami wyrazili podziękowanie, poczem w dyskusji i zapytaniach zabierali głos pp. Roman hr. Potocki, Konstanty Kościukiewicz, Witold Maciejewski, inż. Wacław Gordzialkowski, Leszek hr. Poniński-Walewski, Targoński i Stanisław Madeyski którym referent szczegółowo odpowiadał.

Po wyczerpaniu dyskusji Przewodniczący Roman hr. Potocki w bardzo serdecznych słowach podziękował p. Wacławowi Podhorskiemu za tak ciekawy referat, który był naprawdę miłą ucztą duchową dla myśliwych i uświetnił dzisiejsze Walne Zgromadzenie.

Na okres trzechlecia, stosownie do § 45 statutu Pol. Zw. Łow. zostali wybrani do Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej:

1. Na Prezesa Roman hr. Potocki,
2. Na Wiceprezesa inż. Wacław Gordziałkowski,
3. Na Wiceprezesa p. mjr. Zygmunt Wałecki,

Na członków:

1. p. Witold Maciejewski,
2. p. Stanisław Madeyski,
3. p. inż. Zygmunt Obl,
4. p. Leszek hr. Poniński-Walewski,
5. p. Józef hr. Stadion-Rzyszczewski,
6. p. Józef hr. Stecki,
7. p. Aleksander Zapolski,
8. p. inż. Henryk Ziembicki,
9. p płk. Antoni Żurakowski.

Na okres 1 roku, stosownie do § 68 statutu Pol. Zw. Łow., do Komisji Rewizyjnej zostali wybrani:

1. p. Apolinary Jackiewicz,
2. p. Aleksander Klimko,
3. p. Leon Jarząbek.

Na zastępców:

1. p. Julian Marynowicz,
2. p. Dr. Włodzimierz Lipiński.

Na Delegatów na Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego zostali powołani:

1. p. inż. Wacław Gordziałkowski,
2. p. Stanisław Madeyski.

Po uchwaleniu szeregu wolnych wniosków, postanowiono wysłać depeszę do Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego, P. Generała Kazimierza Sosnkowskiego.

Sekretarz
St. Madyski.

Przewodniczący
Roman Potocki.
Łowczy Wojewódzki.



M. MATGARF: *„Łosie i łososie"*, z przedmową Walentego Garczyńskiego. Skład główny: księgarnia J. Przeworskiego. Str. 300. Okładka ozdobna, tekst zrobią liczne reprodukcje zdjęć fotograficznych.

Przystępuję do recenzji o książce, zawierającej wspomnienia z wyprawy myśliwskiej autora do Kolumbji Brytyjskiej w Kanadzie, o książce, która w szeregu odcinków ukazała się drukiem w „Łowcu Polskim" pod kryptonimem „M. G.".

Wprawdzie czytelnicy „Łowca Polskiego" wspomnienia te znają, a jednak, pomijając już to, że autor, wydając je w książce, wprowadził szereg uzupełnień i zmian, mnie samemu, który je czytałem jednym tchem powtórnie, wydały się jako całość rzeczą o wiele lepszą: lepiej opracowaną, płynniejszą, zrozumialszą w nastroju jakby żyjącą częścią duszy prawdziwego łowcy w nieustannej rozmowie z duszą, drgającej mocnem tętnem życia puszczy i jej tajemnic. To ostatnie zwłaszcza wrażenie w czytaniu odcinkowem nie uwydatniało się tak wybitnie i dosłownie.

A stwierdzić należy, że Margarf we wspomnieniach swych z musu tylko rozmawia z ludźmi, z którymi styka się z konieczności jako ze swymi przewodnikami i pomocnikami w łowach — chce i umie naprawdę rozmawiać tylko z przyrodą, którą — widać jak głęboko ukochał i jak subtelnie wyczuwa.

„Łosie i łososie" przynoszą chlubę nietylko ich Autorowi, który bodaj że pierwsze kroki literackie postawił, pisząc wspomnienia myśliwskie z Kanady, ale także i całemu piśmiennictwu łowieckiemu, dzięki tej bezpośredniości ujmowania wrażeń i przeżyć w formę tak barwną i obrazową, jasno odbijającą wrażliwość duchowych nastrojów Autora pod urokiem wielkości otaczających go odwiecznych tajemnic puszczy.

Serce autora bije tam mocnem, przyśpieszonem tempem zachwytu i oszołomienia przez rzeczy piękne, nieznane dotąd, a tak bardzo zachwytu godne, lecz oszołomienie to, zdziwienie i zachwyt, przychodzące jakby znienacka, ustępują natychmiast myślom i rozważaniom, ocenom rozumu, który poznaje, spostrzega, zdaje sobie sprawę z rodzących się w sercu uczuć i zna ich wielkie przyczyny.

Matgarf jest przytem dobrym myśliwym — łowcą większej miary — któremu bynajmniej nie chodzi już nie o mięso, jak towarzyszącemu mu mieszkańcowi Kidowi, lecz nawet o realizację coute que coute przysługującego mu odstrzału. Potrafi patrzeć i cieszyć się oczami, obserwować zwierzynę, fotografować nigdy przedtem niewidziane gatunki, strzał pozostawiając na sam koniec, jako konieczny akt spełnienia się przeznaczenia puszczy, a jednocześnie odprężenia napiętej, jak cięciwa łuku w ręku, pasji myśliwskiej.

Książa „Łosie i łososie" posiada jeszcze jedną zaletę, tę mianowicie, że myśl Autora, zajęta i pochłonięta przedewszystkiem obserwacją natury wogóle, a zwierząt w szczególności, pracuje i w innych kierunkach. Skierowywana na ludzi, na środowiska, daje świadectwo Autorowi, jako trafnemu wnikliwemu psychologowi, umiejącemu budować ciekawe charakterystyczne wnioski z obserwacji i wczucia się w kwestje płynące.

Stąd wiele dygresji, napotykanych w trakcie samych opisów faktów wyprawy, czyni tę książkę interesującą nietylko dla myśliwych.

Opisy pochodów ciężkim szlakiem górskich „ścieżek" klimatu, obozowisk, tropienia i podchodów zwierząt takich, jak grizzly, puma, baran skalny, są niesłychanie drobiazgowe, a przecież bynajmniej nie nużące, przeciwnie, budzące żal, że idzie się po tych szlakach i ogląda się te wspaniałe egzemplarze zwierząt egzotycznych tylko oczyma wyobraźni, budzonej wrażliwem i jednocześnie dokładnem piórem Autora.

I wreszcie występuje na kartach „Łosi i łososi" wiele filozoficznego zacięcia — a obok wiele humoru o pogodnem obliczu, czasem może nieco rubasznego. I jeszcze coś bardzo ważnego: wielkie umiłowanie ojczystych stron, których urok nie blaknie ani na chwilę wobec nowych oglądanych cudów.

W każdym razie „Łosie i łososie" są książką z cyklu „podróżniczych" nieprzeciętną, żyjącą życiem prawdziwem, fizycznie nieraz odcierpianem, niekomponowaną „na urząd", tętniącą serdecznym rytmem serca myśliwego.

W rozważaniach Autora przebija się także wiara i miłość do Boga, którego wielkość i moc ukazać może najbardziej i najlepiej piękno i potęga przyrody.

Książkę „Łosie i łososie" warto przeczytać, warto się w nią wczuć głębiej — zresztą to się stanie mimowoli.

Wł. Z.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

WILD UND HUND

N 30/1937. Str. 481. Hubner *„Lisy przy padlinie"*. — Polowanie na lisy z naganką rzadko może dać wyniki większe. To też tam, gdzie chodzi o istotne zmniejszenie ilości tych drapieżników, wskazanym jest również regularny odstrzał ich przy padlinie. Odstrzał taki musi jednak posiadać organizację stałą, a nie być tylko przypadkowym. W tym celu należy wybrać miejsce dogodne np. na polanie lub łące leśnej, dość rozległej, niezacienionej przez drzewa, aby mieć dostateczne pole widzenia i obstrzału. Dla umieszczenia myśliwego służyć może bądź specjalnie wzniesiona chata, bądź ziemianka, bądź wreszcie ambona. Najdogodniejszą, bo najlepiej chroniącą od zimna i wiatru, a zarazem tłumiąca odgłosy przy poruszeniach my-

śliwego jest oczywiście chata, większy zaś nakład jednorazowy umorzony jest długotrwałością jej użytkowania, jak również możnością wykorzystania np. na skład siana. Przy budowie wszelkiego pomieszczenia dbać należy o to, aby stało ono pod wiatr najczęściej w danej okolicy panujący, co ma pierwszorzędne znaczenie z uwagi na wyjątkowo dobre powonienie i ostrożność lisa. W odległości 40 — 50 kroków od pomieszczenia wybiera się miejsce na padlinę, której nie należy kłaść wprost na ziemi. Najlepiej jest wykopać pewne zagłębienie i uczynić z niego rodzaj kupy kompostowej, do której narzuca się nawozu, odpadków, padłe zwierzęta itp. Sam zapach takiego śmietnika przyciąga już lisy, a obok nich kuny i tchórze, zaś założenie go już na wiosnę i ciągłe uzupełnianie w ciągu lata sprawia, że staje się on punktem zbornym dla wszystkich drapieżników. Na jesieni, kiedy futro lisa nabiera już wartości, można zacząć zasiadkę. Dobrze jest poprzedzić ją przeciągnięciem padliny, umieszczonej w siatce od jam lisich do miejsca czatów. Na zasiadkę należy wybrać noc księżycową i wiatr pomyślny, udać się zaś na nią wcześnie, gdyż lis przychodzi nieraz wraz ze zmrokiem. Warunkiem powodzenia jest oczywiście zachowanie kompletnej ciszy. Strzelać do lisa najlepiej jest w chwili, kiedy obrócony jest bokiem do myśliwego, zaś aby go dobrze móc dojrzeć usunąć należy już uprzednio z placu wszystkie nierówności czy krzewy w pobliżu padliny, jak również pamiętać o tem, aby sama padlina nie była tak dużą, aby widok lisa przesłaniała. Po strzale oddanym do lisa, bez względu na jego wynik, można już wyjść z ukrycia i iść do domu, gdyż po nieuniknionym hałasie trudno jest oczekiwać przyjścia na to samo miejsce drugiego drapieżnika. J. G.

POCZĄTKI ODRODZENIA NIEDŹWIEDZIA W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ.

(Wywiad z Insp. M. Doubrawskim).

Puszcza Białowieska w pierwszych dniach listopada r. b. powitała założycielkę nowej placówki odrodzenia sławnego rodu niedźwiedzi — niedźwiedzicę pochodzenia nizinnego, która, według zapewnienia Dyrekcji Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu, skąd została sprowadzona staraniem Administracji lasów państwowych, w zimie ma zostać matką. Niedźwiedzica tak, jak mi uprzejmie zakomunikował p. Insp. Doubrawski, zamieszkała w zawczasu dla niej przygotowanem pomieszczeniu, składającem się z dużej żelaznej klatki (5 X 5 m) oraz barłogu z bali (3 X 3 m), w którym będzie pomiatać i przebywać w czasie snu zimowego. Klatka ta znajduje się na terenie Parku Narodowego w Białowieży.

Pieczę nad niedźwiedzicą sprawuje specjalny strażnik, który będzie również opiekunem mających się urodzić niedźwiadków. Te właśnie niedźwiadki stanowić będą „podwaliny" przyszłej hodowli niedźwiedzi.

Klatka jest urządzona w ten sposób, że małe brzdące swobodnie będą przechodzić pomiędzy prętami, stopniowo osiągając przez urządzanie coraz dalszych wycieczek zupełną samodzielność. Staną się one z czasem prawdziwymi mieszkańcami puszczy, niepotrzebującymi opieki i nadzoru człowieka.

Pozatem mają być sprowadzone na wiosnę jeszcze 2 — 3 młode sztuki również pochodzenia nizinnego. Oczekuje na przybycie miłych gości wygodne locum, składające się z klatki (5 X 2,5 m) i barłogu.

Przez sprowadzenie tych niedźwiadków zostanie wypróbowany drugi sposób odrodzenia niedźwiedzi. Po przetrzymaniu w klatce w ciągu pewnego okresu, niedźwiadki mają być wypuszczone na wolność i poddane obserwacji celem stwierdzenia, czy mogą sobie same dać radę, czy zdobędą potrzebny pokarm i czy nie zdradzą chęci wyemigrowania z puszczy. Klatka przez ten próbny okres pozostanie otwartą, a więc dostępną w każdej chwili dla jej mieszkańców.

Z momentem osiągnięcia przez niedźwiadki zupełnej samodzielności, klatkę się zamknie.

O ile niedźwiedzica nie wyda na świat spodziewanego potomstwa, zostanie sprowadzony samiec w okresie przed rują, czyli w maju — czerwcu przyszłego roku.

Obydwa sposoby odrodzenia niedźwiedzi w Puszczy Białowieskiej będą przeprowadzane równolegle. Sądzimy, że wyniki tej akcji będą pomyślne, gdyż właściwości siedliskowe puszczy, wielka jej powierzchnia i nastawienie gospodarki łowieckiej na jej terenie są zupełnie sprzyjające dla bytowania największego mocarza kniei naszych — niedźwiedzia.

Przy sposobności zapytałem p. Insp. Doubrawskiego o zdrowie przyszłej matki łosi puszczańskich, młodej łoszy, którą dostaliśmy w darze od Karola Księcia Radziwiłła. Córa wspaniałych łosi dawidgródeckich czuje się teraz doskonale. Przebywa ona obecnie w dużym zwierzyńcu o pow. 5 ha, zaopatrzonym w naturalny zbiornik wody i zarośla, a zatem odpowiadający wszelkim wymaganiom tej szlachetnej zwierzyny. W przyszłym roku Dyrekcja Lasów Państwowych w Białowieży poczyni starania o dalsze kilka sztuk młodych łosi.

W. LINDEMAN.

TREŚĆ NUMERU.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa